

Najważniejsze były zawsze zwierzęta

IZABELA KAMIŃSKA

Franciszek Szydełko przez ponad pół wieku zawodowo szkolił psy bojowe, myśliwskie i towarzyszące, a także układał zwierzęcych aktorów. Okrzyknięty św. Franciszkiem z Rzeszowa, zaklinczaczem dżdżownic oraz psim szewcem, sam kwituje, że jest po prostu przyjacielem zwierząt. Nieprzerwanie od 25 lat pełni też funkcję prezesa koła łowieckiego „Ogar” w Sułkowicach.

Pańska współpraca ze zwierzętami to przypadek czy przeznaczenie?

Wierzę, że jednak przeznaczenie. Jeśli miałby to być przypadek, byłoby ich chyba w moim życiu zbyt wiele.

Skąd ta nieć porozumienia między Panem i zwierzętami?

To szczególny dar. Każdy z nas coś otrzymał od losu – mnie przypadła taka jedność ze światem żywych stworzeń. Trudno to nawet wytłumaczyć. Nie ma zwierzęcia, które by się do mnie nie garnęło, ani takiego, które byłoby w stosunku do mnie agresywne, a przecież szkoliłem naprawdę groźne, bojowe psy.

Tresura zwierząt to dosyć nietypowy fach. Sam wpadł Pan na pomysł, aby się tym zajmować?

W czasie II wojny światowej wcielono mnie do 2 Armii Wojska Polskiego. Podczas pobytu na froncie poznałem starszego sierżanta, który zawodowo układał zwierzęta. Od razu pomyślałem, że to zajęcie w sam raz dla mnie. Kiedy po 1945 r. trafiłem do Milicji Obywatelskiej, skierowano mnie do pierwszej w Polsce Szkoły Przewodników i Tresury Psów Służbowych w Słupsku.

Domyślam się, że był Pan prymusem...

Rzeczywiście wszystko łąpałem w mig i ukończyłem kurs z wyróżnieniem w stopniu sierżanta. Nauczyciele nie chcieli mnie stamtąd wypuścić. I tak stałem się wykładowcą w macierzystej szkole. Długo jednak nie zagrałem miejsca w Słupsku, gdyż już po czterech latach przyszedł odgórny rozkaz, by zjednoczyć wszystkie szkoły w kraju, które szkoliły psy wykorzystywane w więzien-

nictwie, straży granicznej oraz przez Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Dokąd przeniesiono Szkołę Przewodników?

Całą naszą kadrę umieszczono w Sułkowicach, w pięknym dworku należą-cym niegdyś do Michała hrabiego Dziewanowskiego.

Czy w Sułkowicach zajmowano się tylko psami bojowymi?

Szkoliliśmy zwierzęta do bardzo różnych celów wojskowych i policyjnych, m.in. psy myśliwskie oraz towarzyszące. Te drugie miały służyć głównie żołnierzom, którzy stracili wzrok podczas wojny.

Tutaj też układał Pan zwierzęta, które potem występowały w filmach?

W Sułkowicach nie było na to miejsca, ale pośrednio dzięki tej szkole trafiłem do

świata filmu. W 1966 r. odwiedził nas zaczynający wówczas swą karierę reżyser Krzysztof Szmagier, który kręcił właśnie piętnastominutowy dokument pt. „Selim” o psach służbowych i sposobach ich tresury. Potrzebował konsultanta, ponieważ w filmie miało wystąpić 30 owczarków niemieckich. Moi przełożeni uznali, że ja się najlepiej nadam. Po tym krótkim epizodzie zatrudniono mnie do serialu „Cztery pancerni i pies”.

Potem były jeszcze „Przygody psa Cywila”, „Noce i dnie”, „Szaleństwa panny Ewy”, „Ogniem i mieczem”, „Akcja pod Arsenalem”, „Europa, Europa”... Długo mogłabym tak wymienić.

Przez ponad pół wieku pracowałem przy 148 filmach (w tym 39 zagranicznych produkcjach), do których wyszkoliłem ponad 500 zwierząt.



Na planie filmu „Katastrofa w Gibraltarze” w reż. Bohdana Poręby. Od lewej: Jerzy Molga grający Władysława Sikorskiego oraz Franciszek Szydełko grający pułkownika

Arch. F. Szydełki (7)



Franciszek Szydełko – treser zwierząt, konsultant filmowy i myśliwy. Absolwent Szkoły Przewodników i Tresury Psów Służbowych w Słupsku. W trakcie swojej aktywności zawodowej wyszkolił ponad 500 zwierząt (psów, węży, kaczek, gęsi, szcurek, kóz, świń, much, dżdżownic itd.) na potrzeby 148 filmów, m.in. „W pustyni i w puszczy”, „Noce i dzień”, „Szaleństwa panny Ewy”, „Ogniem i mieczem” i „Nie ma mocnych”. Sam zagrał epizodyczne role w 49 filmach. Jest też członkiem Polskiego Związku Łowieckiego oraz prezesem KŁ „Ogar” w Sułkowicach.

Jakie przymioty powinien mieć człowiek, który zajmuje się układaniem zwierząt?

Cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość. Taka osoba musi być oazą spokoju. Gwałtowne ruchy czy podniesiony tembr głosu są przez zwierzę odbierane jako sygnał do ataku. Najpierw trzeba się po prostu z nim zaprzyjaźnić, poznać jego psychikę i reakcje na różne bodźce, a następnie modulacją głosu oraz gestami uczyć je konkretnych zachowań.

Zaczynał Pan od tresury czworonogów wykorzystywanych w milicji. Czy tym samym kluczem posługuje się Pan podczas pracy ze zwierzętami aktorami?

Przygotowanie zwierząt do występów w filmach to całkiem odmienna historia. Kiedy dobieram „aktorów”, podążam zupełnie inną ścieżką niż podczas szukania zwierząt służących celom bojowym.

Pies, który dostaje same piątki w szkole tresury, często nie jest w stanie zagrać ani jednej sceny na planie filmowym. Myślę, że to jest jak z ludźmi – po prostu nie każdy mógłby zostać aktorem.

Które zwierzęta są bardziej uzdolnione – te z rodowodem czy te nierasowe?

Wszystkie zwierzęta są mądre, tylko mają różne predyspozycje i temperament. Daleki jestem od epitetów, że dane stworzenie jest niepojętne czy niezdolne. Jeśli jednak chodzi o psy, chyba najłatwiej wytrenować sznaucera – to niezwykle zdyscyplinowana rasa. Doskonale pracuje się też z kundelkami, które często łąpią szybciej od tzw. rasowców.

Czy nasi filmowi ulubieńcy mają swoje fochy, podobnie jak prawdziwi aktorzy? Czy czasem uderza im do głowy woda sodowa?

Zwierzęta czują, że są popularne i podziwiane. W dodatku bardzo to lubią. Chyba największą wyszkoloną przeze mnie gwiazdą był Szarik z filmu „Czterej pancerni i pies”. Trymer, który się wcielał w tę rolę, czuł się przed kamerą jak ryba w wodzie. Gdy się pojawiał na planie filmowym, od razu wskakiwał na maskę czołgu i czekał na polecenia. Był mocno rozczarowany, gdy sceny grano bez jego udziału. Myślę, że zwierzęta lepiej sobie radzą ze sławą niż ludzie. Ich zachowania są zawsze szczerze, nie ma w nich załtanności ani zawiści.

Zdarzyło się, że musiał się Pan posunąć do szczególnie drastycznych metod podczas szkolenia zwierząt?

Nigdy, podkreślam, nigdy nie zgodziłem się, aby jakkolwiek istota była bita, szarpana czy psychicznie upodłona. Takie zachowania, poza tym, że wywołują ból, mogą się dla nas skończyć tragicznie. Zwierzę ma doskonałą pamięć i kiedyś nam się za to odpłaci.

W takim razie jak udaje się Panu wyegzekwować od zwierząt czasem zupełnie abstrakcyjne zachowania?

Kieruję się tylko i wyłącznie dobrocią. Poprzez spokój, zabawę, pieszczoty można osiągnąć niemalże wszystko. Bardzo pomagają też smakołyki. Jeśli zwierzę jest łakomczuchem, to mamy ułatwione zadanie.

Są też takie gatunki, jak muchy, dżdżownice czy szcurek, których nie da się nauczyć określonych zachowań. Wtedy daną reakcję trzeba wyegzekwować sposobem. Znam psychikę poszczególnych gatunków zwierząt i wiem, czego można się po nich spodziewać. Kiedy reżyser Frank Beyer podczas kręcenia jednego ze swoich filmów chciał, aby gromadka dżdżownic przesuwiała się w kierunku kamery, położyłem je na suchej powierzchni, a trzy metry przed nimi umieściłem worek z wilgotną ziemią. Już po chwili dżdżownice jak zahipnotyzowane popęły do ziemi, aby się ukryć. A jak zaaranżować na planie rój z kilku milionów much? Kupiłem 25 kg wołowych kości i pozostawiłem je na pełnym słońcu na cztery dni, aż nabrały właściwego zapachu. Nie trzeba było długo czekać – wkrótce zrobiło się tak czarno od owadów, że dwie kamery nie były w stanie objąć tej chmary.

Jak przekonał Pan dziką lochę, czyli pomalowaną na czarno świnkę, która zagrała kardynalną rolę w scenie polowania w filmie „Nie ma mocnych”, aby się uśmiechnęła?



Franciszek Szydetko (stoi) w roli angielskiego oficera w filmie „W pustyni i w puszczy” w reż. Władysława Ślesickiego



Na Saharze w rejonie czerwonych gór Atlas, z dogiem o imieniu Łoś, który zagrał Sabę w filmie „W pustyni i w puszczy”

No właśnie, świnie z natury się nie uśmiechają i raczej chodzą z opuszczonym łbem. Musiałem wymyślić jakiś sposób, by wyjątkowo tym razem nasza mała aktorka zmieniła swoje przyzwyczajenia i szeroko otworzyła paszczę. Zainspirowały mnie kucharki, które gotowały dla nas obiady na planie filmowym. Pewnego dnia podały chrzan – straszne paskudztwo, po prostu nie do zjedzenia, i pomyślałem, że spróbuję go podać świnie. Kiedy położyłem jej odrobinę tego „przysmaku” na język, nie wiedziała, co zrobić. Chcąc się jakoś pozbyć palącej papki, rozdziawiła ryjek. Najważniejsze, że wyglądało to tak, jakby się uśmiechała.

Choć w naszym kraju konie otacza się szczególnym kultem, a na świnie patrzy się dosyć pogardliwie, to właśnie te drugie są szczególnie inteligentne. Kiedy tę farbowaną loszkę przeprowadziłem przez las, a następnie puściłem samodzielnie, wróciła dokładnie tą samą drogą, którą szła początkowo.

Scena polowania w filmie Sylwestra Chęcińskiego była najtrudniejszym przypadkiem, z jakim musiał się Pan zmierzyć?

Właściwie każdy film był na swój sposób trudny, bo za każdym razem czekały mnie nowe wyzwania, kolejne zwierzęta, niecodzienne wymogi. Nie ulega wątpliwości, że z płazami i gadami pracuje się najciężej. Miewałem też do czynienia z gatunkami jadowitymi. Często jednak

to nie zwierzęta sprawiały problemy, ale otaczające nas warunki.

Jak w przypadku „W pustyni i w puszczy”?

Już od samego myślenia o tym filmie robi mi się gorąco. Temperatura powietrza wynosiła 50°C, a temperatura piasku – 70°C. W Afryce właściwie nie ma psów, bo nie są w stanie wytrzymać tak zabójczego klimatu, dlatego nasze zwierzęce gwiazdy filmowe (Sabę grały dwa dogi: – Łoś i Apacz – przyp. I.K.) musiałem otoczyć szczególną opieką. Przed wyjazdem do Kairu przygotowywałem je przez sześć tygodni – to było bardzo ważne, gdyż zwierzęta przywiezione z Europy do Egiptu trudno się aklimatyzują. Uszyłem moim podopiecznym skórzane skarpetki, które chroniły ich łapy przed palącym piaskiem, a na miejscu chodziłem za nimi krok w krok z parasolem i butelką wody. Egipcjanie byli przerażeni, kiedy widzieli mnie spacerującego z olbrzymimi dogami – myśleli, że to lwy.

Kiedy otrzymuje Pan nietuzinkowe polecenie od reżysera, to od czego Pan zaczyna?

Najpierw uważnie czytam scenariusz i analizuję, jakie zwierzę powinno zagrać daną rolę. Kreślę dokładne preferencje „aktora”. Istotne jest nie tylko to, jak ma wyglądać, lecz także to, jakie powinien mieć usposobienie. Następnie swoje refleksje konsultuję z reżyserem, gdyż on czasem myśli, że zwierzętom da się wszystko wytłumaczyć jak ludziom.

Ciekawa jestem Pańskiej miny, kiedy w scenariuszu filmu „Miś” przeczytał Pan, że w scenie polowania zwierzyne będą grały koty?

Chyba na planie żadnego filmu nie było tak wesoło, jak podczas kręcenia tej komedii. „Miś” w reżyserii Stanisława Barei okazał się strzałem w dziesiątkę. Przecież do dziś jest chętnie oglądany i to zarówno przez osoby, które pamiętają tamtą epokę, jak i przez następne pokolenia.

Przed przystąpieniem do kręcenia sceny łowieckiej objeżdżałem okolicę w poszukiwaniu kotów, które mogłyby zagrać w filmie. Oczywiście ze znalezieniem „aktorów” nie było problemu. Następnego dnia miejscowe dzieci przyniosły swoich pupili, a my ubraliśmy zwierzęta w kostiumy uszyte z wyprawionych zajęczych skór. Reszta właściwie zrobiła się sama. Koty na widok ogarów zaczęły uciekać, a że w pobliżu rośla samotna grusza, nasze „zające” schroniły się na drzewie.

Jak wyglądała współpraca z reżyserami i ich podejście do zwierząt?

Bardzo różnie. Czasem łapię się za głowę i zastanawiam się, czy mam do czynienia z poważnym człowiekiem. Podczas kręcenia jednego z filmów reżyser kazał mi opuścić plan, gdyż – jak powiedział – sam chce pracować z „aktorem”. Myślał, że po wydaniu komendy pies posłusznie wszystko wykona. Był bardzo zdziwiony, gdy zwierzę zignorowało jego rozkazy.

Nie zgadzam się ponadto, aby zwierzęta odgrywały sceny, które miałyby negatywny wpływ na ich zdrowie. Mam na myśli nie tylko kondycję fizyczną, lecz także psychikę. Takie doświadczenie to dla żywego stworzenia olbrzymi stres. Reżyseria, dialogi, poprawki, kamera, kilometry kabli, oświetlenie – wszystko wywołuje niemałe zamieszanie. I w tym galimatiasie wymaga się, aby zwierzę zagrało. W dodatku to, co robi, ma się pokrywać z dialogiem aktorskim.

Który z reżyserów okazał się najbardziej wyrozumiały?

Świetnie wspominam współpracę z Jerzym Hoffmanem. Jurek jest prawdziwym miłośnikiem zwierząt. Także wspomniany już przeze mnie Krzysztof Szmagier miał ogromną wiedzę na ich temat i doskonałe do nich podejście.

Pan również ma na swoim koncie liczne epizody aktorskie...

Zagrałem w kilkudziesięciu filmach – były to niewielkie rólki, ale także poważne role z dialogami. Na przykład w „W pustyni i w puszczy” wcieliłem się w oficera oraz dzięki odpowiedniej charakterystyce zamieniłem się w Beduina. Występowałem głównie po to, aby nie narażać aktorów, ale i tak najważniejsze były zawsze zwierzęta.

Czy poza filmem towarzyszą one Panu też w codziennym życiu?



Podczas kręcenia filmu „Ogniem i mieczem” z reżyserem Jerzym Hoffmanem. Franciszek Szydełko wciela się w rolę gospodarza zajazdu

Przez wiele lat mieszkał ze mną olbrzymi sznaucer, którego nazwałem Tarzan. Ukochane psisko. Teraz opiekuje się nim mój syn.

Dziś mieszka Pan w centrum Warszawy. Czy nie bliższe byłyby Panu leśne krajobrazy?

Życie samo napisało scenariusz i tak się złożyło, że zamieszkałem w stolicy. Oczywiście zawsze bliskie mi były klimaty wsi i lasu. Jednak moja praca wiązała się z tym, że musiałem być tuż obok świata filmowego. Nigdzie indziej nie mógłbym przeżyć tego, czego doświadczyłem tutaj.

Dzieciństwo spędziłem na przedmieściach Rzeszowa, gdzie otaczało mnie wiele zwierząt. W moim rodzinnym do-

mu zawsze były stałym elementem. Mieszkały z nami dwa owczarki niemieckie, dwa mieszańce i trzy koty, które jadły z jednej miski. To było niesamowite. Mieliśmy też dwie kozy kaskaderki, które, choć nikt ich nie tresował, potrafiły skakać przez drążek. Szacunku i właściwego podejścia do zwierząt nauczyłem się głównie od ojca, który był gajowym i pracował w lasach ordynata łańcuckiego Alfreda Potockiego.

Czy uczestniczył również w polowaniach u hrabiego?

Tak, mój ojciec brał udział w sławnych łowach i dwukrotnie zabrał mnie nawet ze sobą. Byłem na zajacach i bażantach ➡



Z wizytą w Czechach na zaproszenie Telewizji Praga.

Od lewej: Franciszek Pieczka, przedstawicielka telewizji, Franciszek Szydełko, owczarek niemiecki Trymer, który zagrał Szarika w serialu „Czterej pancerni i pies”, i Janusz Gajos



Myśliwi z KŁ „Ogar” w Sułkowicach ze sztandarem otrzymanym od gminy Chynów. Franciszek Sztydełko stoi czwarty od prawej

w bażantarni, w której hodowano dzikie ptaki. Razem z dziećmi z okolicy naganialiśmy zwierzynę dla dworskiej elity.

Pamięta Pan, jak wyglądały tamte łowy?

Uczestniczyła w nich sama świta, siedem–osiem osób. Poza Potockim był też książę Lubomirski oraz hrabia Tyszkiewicz. Wszyscy doskonale ubrani. Na głowach mieli bardzo różne kapelusze z piórami dzikiego ptactwa, a na nogach – wysokie, z oddali błyszczące buty. Na polowanie przyjeżdżali pięknymi saniami obszytymi pluszem i wyłożonymi mięciutkimi haftowanymi poduszczkami.

Czy naganiacze mieli kontakt z tym dostojnym towarzystwem?

My byliśmy daleko, a świta bawiła się sama. Na koniec gajowi rozpalili ognisko. Chłopskim dzieciom nie wolno było jednak grać się przy ogniu – dali nam po bułce i kawałku kiełbasy. Tylko ja dostałem od hrabiego Potockiego dwa złote. Cóż to była za radość! Przed wojną taka kwota miała sporą wartość.

Dlaczego tylko Pan został tak sownie wynagrodzony przez hrabiego?

Kiedy Potocki strzelił lisa, kazał mi go nosić na szyi przez całe polowanie. Zdziwiło mnie to trochę. Ale skoro kazał, to wziąłem. Początkowo nawet się ucieszyłem, bo było mi dzięki temu cieplej. Jednak pod koniec łowów martwe zwierzę tak ciążyło, że sianiałem się na nogach. Szedłem jak pijany, przewracając się co krok i lądując w zaspach. Właśnie za ten wysiłek dostałem nagrodę.

Polowania wróciły do Pana w późniejszym życiu. W jakich okolicznościach?

Kiedy zostałem przeniesiony do Sułkowic, mój przełożony płk Józef Pawłusiewicz, niezwykle człowiek, najlepszy specjalista i znawca zwierząt, założył tu pierwsze koło łowieckie, w którego skład wchodziłi sami mundurowi myśliwi, żołnierze i milicjanci. Tereny były przepiękne, a zwierzyny co niemiara. Pewnego dnia koło postanowiło zorganizować polowanie zbiorowe, ale brakowało wówczas myśliwych – aby przeprowadzić zbiorówkę, musiało się bowiem zebrać przynajmniej sześć osób. Pułkownik Pawłusiewicz przyszedł wtedy do mnie i powiedział:

– Kochany synu, a może ty zapisałbyś się do myślistwa? Będziemy jeździć na zajączka, kuropatewkę. W końcu to taka męska sprawa.

Zaskoczył mnie tą propozycją. Odpowiedziałem, że muszę zapytać żonę. Na co on parsknął:

– Jeśli masz pytać baby, to myśliwego z ciebie nie będzie.

Następnego dnia z samego rana pobiegłem do niego, informując:

– Obywatelu pułkowniku, zapisuję się do łowiectwa!

– Czyli się zgodziła! – odpowiedział z pewnością w głosie Pawłusiewicz.

Skłamałem wtedy, że wcale żony nie pytałem. Prawda była jednak zupełnie inna.

Myślistwo pochłonęło Pana bez reszty?

Ze względu na moje częste wyjazdy jako inspektor nie miałem zbyt wiele czasu, aby brać udział w polowaniach. Poza tym w łowiectwie zupełnie nie interesuje mnie strzelanie. Przede wszystkim cieszę się kontaktem z naturą, poranne wyprawy i obserwowanie, jaki świat jest piękny. Gdy trafiłem pierwszego zająca, to przyniosłem go takiego wyglądanego

do domu. Nie potrafiłbym strzelać do jelenia, sarny czy dzika. Podczas polowań skupiam się jedynie na ptactwie.

A jednak nieprzerwanie należy Pan do PZŁ, co więcej – od ćwierćwiecza jest Pan prezesem koła w Sułkowicach.

W naszym kole występuję głównie w roli adwokata zwierząt, bronię ich praw i uczę myśliwych odpowiedniego zachowania względem naszej przyrody, właściwego podejścia i sposobów dokarmiania. Staram się też integrować rodziny członków naszego koła. Panuje u nas bardzo ciepła, przyjacielska atmosfera.

Wiem, że edukuje Pan także naszą młodzież, by nie powielala błędów rodziców.

Od 25 lat opiekuję się 12 szkołami, w których mam wielu przyjaciół: dzieci i ich nauczycieli. Opowiadam im o zwierzętach i ich zachowaniu. Bo jak to mówią, czym skorupka za młodu... Dotrzeć do dzieci nie jest łatwo, ale dzięki moim doświadczeniom z filmem i przygodom, które przeżyłem, mam im dzisiaj co przekazywać. Staram się pomiędzy te historyjki wplatać elementy edukatorskie i przemycać miłość do ojczyznej przyrody.

Powiedział Pan kiedyś, że zwierząt nie wolno ucztwić. Co dokładnie miał Pan na myśli?

Zawsze podkreślam, że musimy się odnosić do zwierząt z szacunkiem i traktować je jak przyjaciół. Nie możemy jednak wymagać od nich, aby myślały czy czuły tak jak my. Na planie zdjęciowym lub w życiu trzeba bowiem pamiętać, że zwierzę zawsze pozostanie zwierzęciem.

Rozmawiała Izabela Kamińska